

J. H. ROSNY (starszy).

Sowa.

— W tym czasie właśnie, — opowiadał hrabia Fiodor Iwanowicz Stiepan, — zostałem skazany na śmierć. Z rozstrzelaniem mojem — czy też powieszeniem — czekało na przybycie jakiegoś pomniejszego dyktatora. Tymczasem rzucono mnie do jednej z piwnic mego zamku.

Uratował mnie ktoś nieznamy, kogo nawet nie zobaczyłem, otwierając mi drzwi i szepcząc:

— Ratuj się, Fiodorze Iwanowiczu... i niech Bóg zmiłuje się nad tobą... uciekaj!

Wychodząc z piwnicy, nie widziałem nikogo. Był to podstęp, może, lecz mniejsza o to. Nie było czasu do namysłu.

Skierowałem się przez korytarz, prowadzący do podziemnego wyjścia, prawdopodobnie nieznanego mym sędziom i katom, i wkrótce znalazłem się na świeżym powietrzu, w pobliżu lasu...

Po wielu dniach udało mi się przedostać do dzikiej okolicy, zamieszkałej przez ludzi niemal w równym stopniu pierwotnych, jak australijscy murzyni.

Cała ta dzielnica należała także do mnie, lecz nie przynosiła mi kopiejkę dochodu; jedynie chłopcy ciągnęli z niej zyski. Rewolucja nie dotarła jeszcze do tych miejsc, a zresztą, cóżby przynieść mogła ludziom, którzy i bez niej robili z ziemi, co chcieli?

Ludność miejscowa przywitała mnie niemal z entuzjazmem, a ponieważ obawiałem się zamieszkać w osiedlu, przygotowano mi chatę w lesie.

Tam dostarczano mi regularnie prowiantów i wobec wielkiego, wrodzonego optymizmu, żyłem znowu życiem beztroskim, w nadziei, którą podzielały miliony istot, że w końcu rewolucjonści zostaną zmieceni z powierzchni świata.

Zdobyłem sobie przyjaciół: w dzień — małe ptaki, w noc — sowę. Jestem z natury rzeczy „poskramiaczem“ zwierząt. Jest to dar, zrodzony z instynktu.

Sowa odwiedzała mnie o zmroku i nie lękała się wejść do chaty.

Obdzielałem ją resztkami jedzenia i w jej obecności nie paliłem światła. Po tych odwiedzinach odlatywała i jak przypuszczam, niestety, niejednokrotnie schrupała któregoś z moich małych, dziennych przyjaciół.

Słyszałem zawsze, że sowa nie odznacza się inteligencją. Jestem przeświadczony o czemś zupełnie przeciwnym. Sowa moja, zdaniem mojem, dorównywała krukowi i srokom. Zdawała się pojmować niektóre moje ruchy i słuchała z filozoficzną powagą słów, dopełniających gesty.

Minęła zima — złowroga zima z roku 1918 na 1919. Byłem względnie szczęśliwy, w każdym razie równie szczęśliwy, jak wówczas, gdy byłem jeszcze niezaprzeczałnym władcą swych dominjów.

Życie w lesie odpowiada zarówno natu-

rze mojej fizycznej, jak i duchowej. Jestem zwolennikiem drzew i najpiękniejsza równina, najwspanialsze góry i najbardziej malownicze potoki zastąpić mi nie mogą gąszczu i lasów i zielonego ich sklepienia...

Nie czułem już trwogi i niepokój mój minął. Wobec tylu dni, spędzonych spokojnie, sądziłem, że jestem bezpieczny i uratowany... Cudowny kwiecień, świeża listwa drzew, młode kwiaty, zmartwychwstająca przyroda — wszystko to pogłębiało moją uciechę...

Pewnej nocy, gdy spałem najspokojniej, zbudził mnie głos żalony, krzyk mojej sowy. Musiała znajdować się w pobliżu, może nawet na chacie.

Było to wołanie, o tem nie wątpiłem na chwilę, bowiem nigdy dotąd mi nie przeszkadzała w czasie snu.

Pewność moja stała się zupełna, gdy wołanie wznowiło się powtórnie. Tknęło mnie jakiegoś przecucie. Ubrałem się pośpiesznie i wybiegłem z izby.

Drapieżca był tuż... Widziałem oczy sowy, gorejące w mroku, jak dwa ogniki...

Zbliżyła się do mnie, spoczęła na moim ramieniu, silnie poruszając skrzydłami.

Nie namyślając się, schroniłem się do sąsiedniego gąszczu, w nieprzeniknione zarośla, znałem jednak drogę swoją równie dokładnie, jak dzik lub wilk.

W tejsze chwili niemal kilkunastu ludzi otoczyło chatę.

W blasku latarki, którą trzymał jeden z przybyszów, poznałem przedewszystkiem swego nieubłaganego wroga, któremu za-

wdzięczałem swoje zaaresztowanie i wyrok śmierci, a następnie twarz okolicznego chłopca, który zapewne zdradził mnie dla zysku, a może poprostu z lęku i obawy.

— A więc tutaj? — zapytał głos stłumiony.

— Tak jest, tutaj, — odpowiedział drżącym głosem chłop.

Nie słyszałem już nic więcej: pomknąłem przed siebie pod osłoną gęstych zarośli, przedostałem się przez gąszcz i dobrnąłem do brzegu rzeki...

Czekała tam łódź, którą udawałem się na połow i którą wyznaczyłem także do ucieczki w potrzebie...

W chwili, gdy wsiadałem na łódź i odbiłem od brzegu, ciemny kształt przesunął się nade mną i spoczął na mem ramieniu: sowa — jestem tego pewny — żegnała się ze mną.

Płynąłem łodzią noc całą. Z każdą godziną oddalałem się od miejscowości, gdzie groziło mi niebezpieczeństwo...

Tułałem się jeszcze całymi miesiącami po lasach, bagnach, urwiskach...

Udało mi się wreszcie przekroczyć granicę i wyostać się z kraju przekłętogo!

Przyznacie, że z pewną słusnością bronie inteligencji sów!"

— Wszystkie zwierzęta, — zauważył Corneval w zadumie, — są znacznie mędrsze, niż przypuszczamy... A sowa, zapewniam was, jest ptakiem wyższej rasy!

— Niech i tak będzie! — zgodził się Głaive.

Tłum. L. M.



Agnes Petersen - Mozzuchinowa i Victor Varconyi w wielkiej symfonii miłosnej p. t. „Kult ciała“ święcą kolosalny triumf artystyczny.



Odbito w drukarni „Kurjera Łódzkiego“.

Łódź w ilustracji

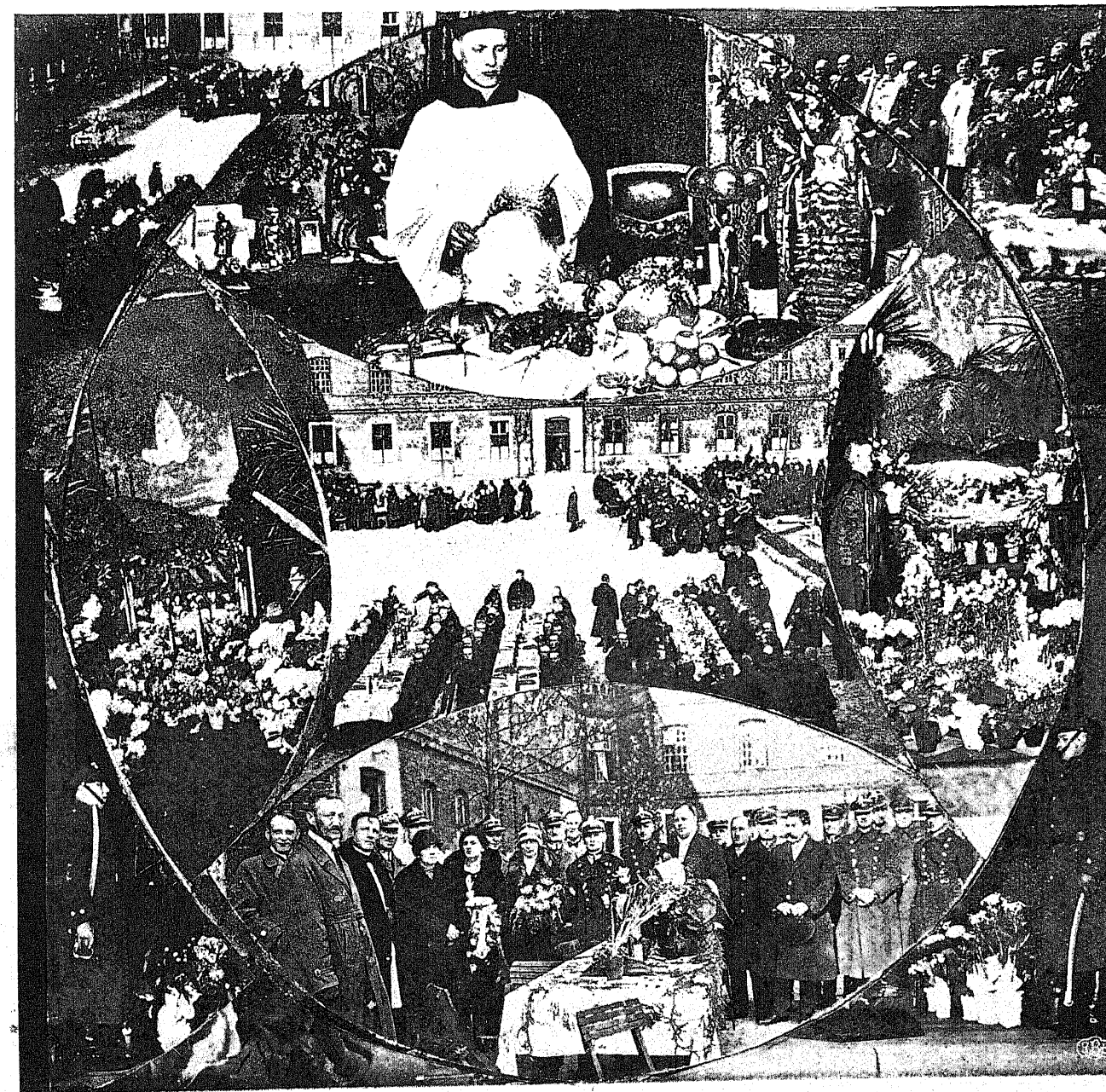
DODATEK ŚWIĄTECZNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok VII.

Łódź, dnia 27 kwietnia 1930 roku.

Nr. 18.

Dzień Zmartwychwstania Pańskiego.



Dzień Zmartwychwstania Pańskiego w Łodzi był wyrazem podniosłej radości mieszkańców. Po dniach sklepienia i ciszy wielkotygodniowej strzeżona muzyka dzwonów wszystkich świątyni nadała miastu charakter odświętny. Nieprzerwane falangi wernych śpieszyły oddać hołd Synowi Bożemu. Nie zapomniano i o tych, których obowiązek oddalił od gniazd rodzinnych. Za stołem świątecznym zasiadli również żołnierze, którym zgotowano święcone. Na zdjęciu powyższym widzimy liczne fragmenty Grobu Chrystusowego w kościołach łódzkich, święconego dla żołnierzy i tradycyjnego święconia pokarmów.

Fot. A. Meyer

TEATRALJA.

Premjery warszawskie. — Teatr i kino. — „Na Przełomie“.

Sezon „święteczny“ zapoczątkowała w teatrach stołecznych premjera dwóch sztuk francuskiego pisarza Emila Mazaud w Teatrze Nowym: jednoaktówki „Szalony dzień“ i trzyaktowej komedji „Dardamelle“. P. Mazaud należy niewątpliwie do zdolniejszych pisarzy scenicznych, ale sława sztuk jego jest już dziś nieco przebrzmiała i, jak to przypomniał jeden z recenzentów, związana była dość ściśle z epoką paryskiego teatru awangardy „Vieux Colombier“ i popagowanym w swoim czasie przez jego dyrektora — Jacques'a Copeau — nawrotem do starej „tradycji francuskiej“, do wzorowania się w pierwszym rzędzie na Moliere i naśladowania stylu jego komedji.

Taką właśnie trawestacją komedji moljerowskiej, trawestacją — rzecz można — a outrance jest komedja Mazaud'a „Dardamelle“, traktująca niezwykłą historję małżeńskiego rogacza. Pan Dardamelle dowiedział się o swych rogach przypadkiem, podczas kłótni z żoną; zamiast uczynić z tego swój dramat wewnętrzny i hańbę tę ukryć głęboko przed oczyma świata, p. Dardamelle — przeciwnie — brawuruje wprost nieprawdopodobnie, chełpi się niemal na prawo i na lewo przykrą „ozdobą“ swego czoła, a wkońcu nade drzwiami swego mieszkania wywiesza tabliczkę z napisem, że „tu mieszka rogacz pierwszej klasy“.

Niezależnie od ciekawej, choć przeszarżowanej i bardzo złośliwej charakterystyki różnych figur z małomiastewskiego środowiska, wartość „Dardamelle'a“, głównie ze względu na przeciągnięcie struny pomysłu poza granice psychologicznego prawdopodobieństwa, wydaje się sporna, jeśli nie zgoła wątpliwa. Publiczność przyjęła komedję Mazaud'a z pewnym zdumieniem i niedowierzaniem. Co się tyczy krytyki, część jej osądziła „Dardamelle'a“ surowo i bez zastrzeżeń, druga część natomiast (mniejszość) dopatruje się w komedji ryzykownego ale interesującego i zrecnie wykonanego eksperymentu, którego celem było dowiedzieć, że niekiedy — śmiało aż do bezwstydu spojrzenie w oczy rzeczywistości i zuchwałe zakpienie sobie z przesądów i przyzwyczajęń świata zapewniają człowiekowi wygraną w walce życiowej, podczas gdy w podobnych okolicznościach polityka rezygnacji, czy też polityka chowania głowy w piasek pociągająby mogły za sobą beznadziejną kompromitację i nieodwołalną porażkę. P. Kuznakowicz w roli głównej dał poprawną aktorską kreację, nie wychodząc oczywiście poza ramy możliwości, zakreślone przez autora; na wyróżnienie zasługują również pp. Gromnicka i Jarszewska.

Ciekawszy i oryginalniejszy wydaje się pomysł jednoaktówki „Szalony Dzień“, który ma prawo do miejskich pretensyj w kierunku analizy psychologicznej. Po latach spotykają się już jako starzy ludzie, dwaj koledzy: kelner i froter z zawodów. Kelner dorobił się maleńkiej renty i mieszka na wsi, dokąd ma przybyć zachwycony jego zaproszeniem Truchard — froter. Truchard

obiecuje sobie najcudowniejsze rzeczy z tej wycieczki i z tego spotkania, zgóry też pisze sążnisty list dziękczynny do ex-kełnera, swego starego przyjaciela. Ale — niestety — froter, przybywszy na wieś, wypił za wiele, tak, że wytrzeźwiał dopiero nazajutrz, na kilkanaście minut przed odejściem swego pociągu. Zamiast długiej, serdecznej spodziewanej pogawędki, wywiązuje się z pośpiechem prowadzona, urywana niemal rozmowa; a z przebiegu i akcentów jej wynika, że właściwie dwaj „starzy przyjaciele“ dawno przestali mieć ze sobą coś wspólnego, a dziś nie mają sobie nawet nic do powiedzenia. I nawet lepiej, by nie mówili ze sobą, bo w rozmowie tylko drażnią się i jątrzą nawzajem niepotrzebnie. Pryśły, jak bańka mydlana, rojenia sentymentalnego Trucharda, a jego epistoła dziękczynna jest tragicomicznym i ironicznym zarzewem wykrzyknikiem, zamykającym tę historję nieudanego spotkania. — Pp. Gawlikowski i Myszkiewicz w rolach dwóch przy-

jaciół znaleźli dla się duże pole do popisu, zwłaszcza pierwszy stworzył głęboko odczuta i świetnie zagraną postać frotera.

Lwowski Teatr Wielki wystawił w tych dniach nową sztukę cenionego autora, Macieja Szubiewicza, p. t. „Na przełomie“, która ma za treść dzieje Lwowa podczas inwazji rosyjskiej, a następnie ukraińskiej. Sztuka napisana jest żywo i zajmująco, z dobrą znajomością stosunków i warunków lokalnych; utrzymana została naogół w formie melodramatycznej, choć tu i ówdzie nie brak głębszych akcentów i dosadniejszej charakterystyki. „Na przełomie“ przyjęto we Lwowie — jak się należało spodziewać — bardzo ciepło i życzliwie, co w pewnym stopniu jest również zasługą starannej reżyserji i bardzo dobrych wykonawców. Przy okazji warto wspomnieć, że Szubiewicz jest również autorem nagrodzonej niedawno na konkursie dramatycznym lwowskim sztuki p. t. „Popieluch“.

Delta.



Corinne Griffith, najsubtelniejsze zjawisko ekranu, bohaterka filmu „Miłość bez korony“ i szeregu innych obrazów, wyświetlanych w kinoteatrach łódzkich.



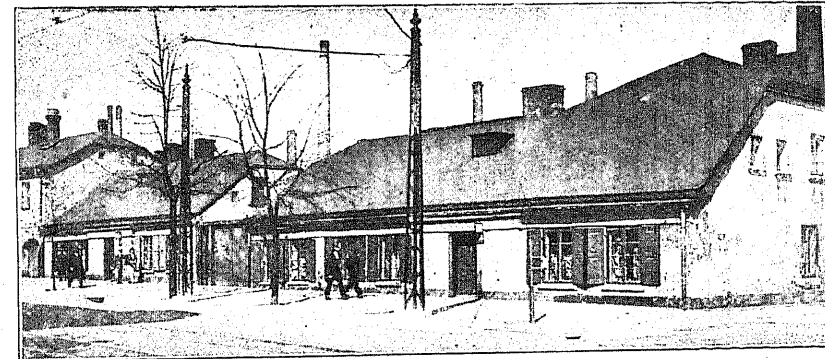
Liczna grupa uczestników rekolekcyi, urządzanych dla członków Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej w Łodzi. W pośrodku widzimy J. E. k. biskupa dr. Tomczaka.



Nils Asther, amant amerykańskiego ekranu, ulubieniec miłośniczek kina, występujący w licznych obrazach produkcji zamorskiej.



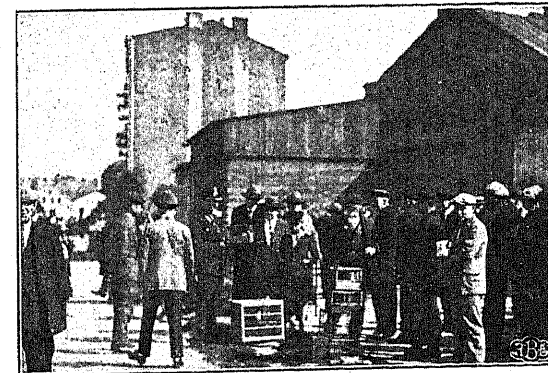
Zbliżająca się wiosna wypędziła na pola liczne szeregi wieśniaków i wieśniaczek, przygotowujących role pod przyszłe plony.



Charakterystyczny zabytek starej Łodzi, część ulicy Piotrkowskiej w pobliżu ulicy Radwańskiej ze swemi maleńkimi domkami.



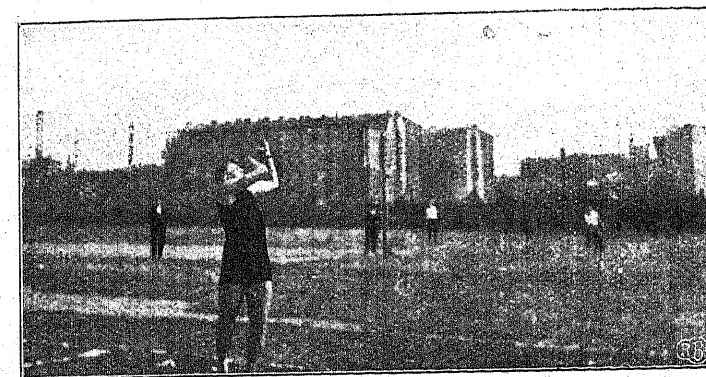
Moment z zawodów lekkoatletycznych. Rzut dyskiem.



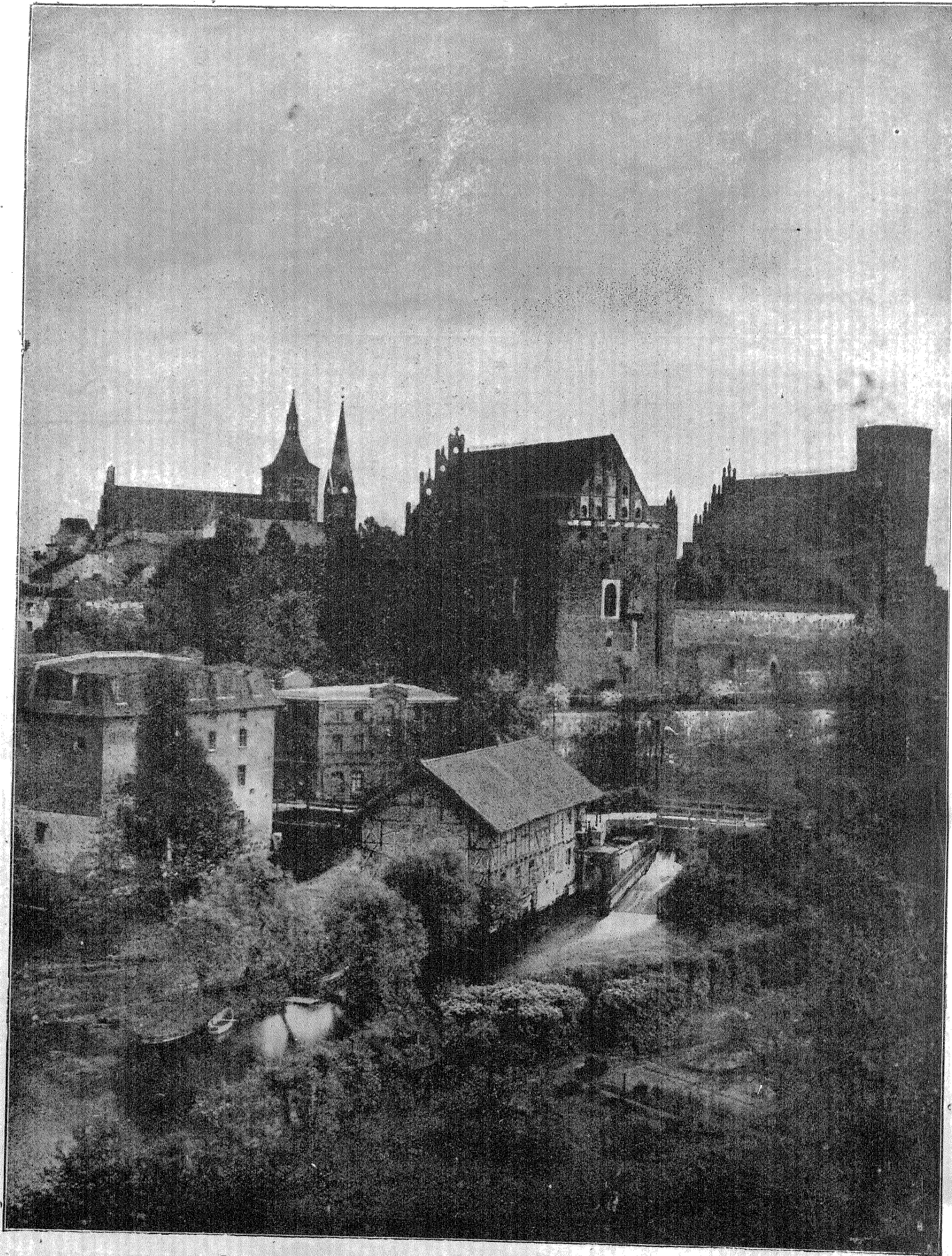
Nędza i bezrobocie w Łodzi wyprawiają głodnych na rynki miejskie wraz z dobytkiem ruchomym, przeznaczonym na sprzedaż. Na zdjęciu widzimy handel ptakami w klatkach.



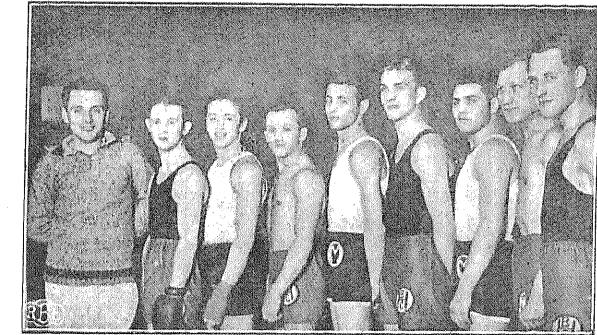
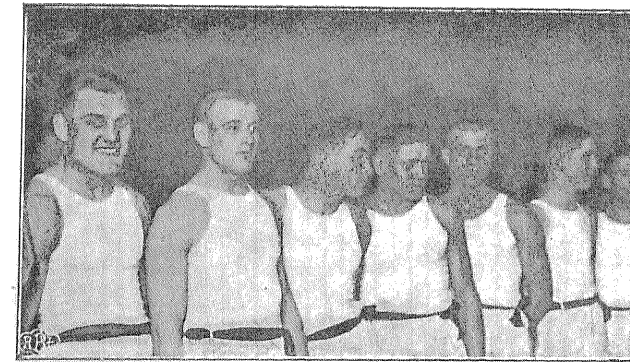
Silnie opierujące promienie wiosennego słońca ożywiły zielonujące powoli parki łódzkie. Powyżej fragment ogrodu Sienkiewicza.



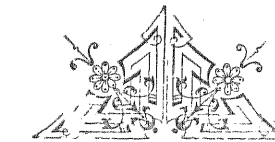
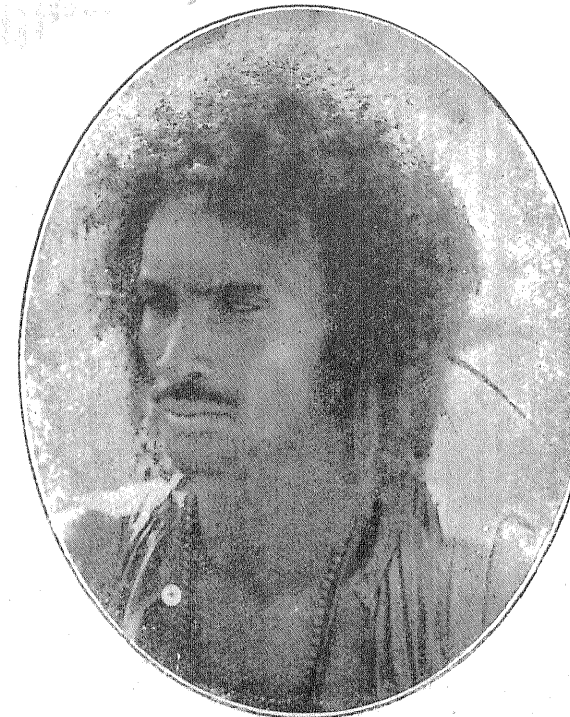
Ciekawy moment z jednego z meczów piłkarskich, jakie odbyły się w okresie przedświątecznym. Bramkarz, chwytający piłkę.



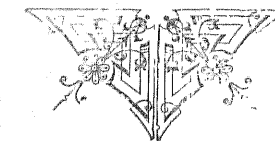
Toruń, twierdza polskości na zachodnich rubieżach Rzeczypospolitej.



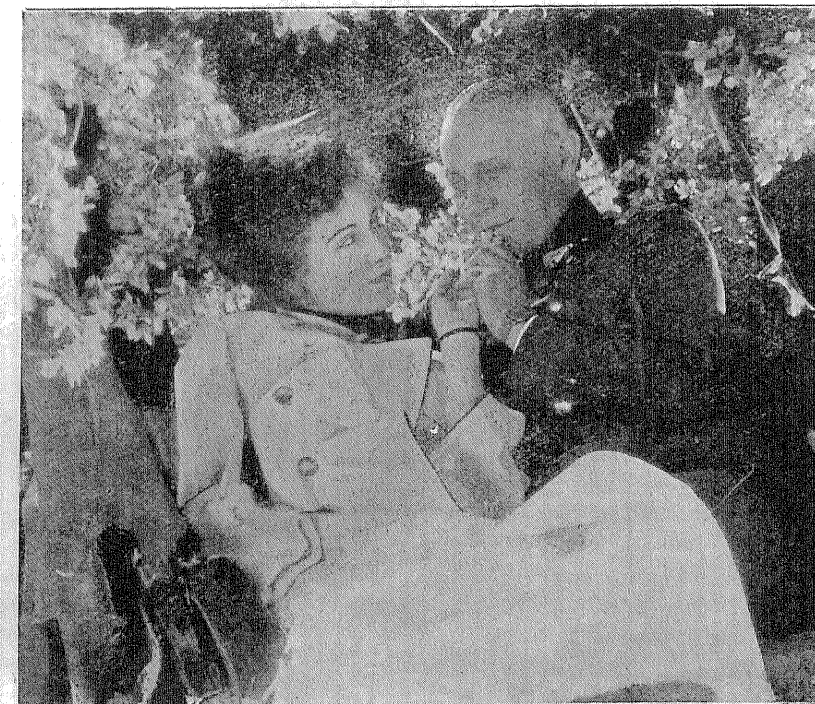
W Łodzi odbyły się międzynarodowe zawody bokserskie, rozegrane pomiędzy reprezentacją bokserską naszego miasta, a drużyną przybyłą na zawody z Berlina. Na zdjęciach widzimy od strony lewej zespół reprezentacyjnej drużyny bokserskiej Łodzi, na prawo zaś drużynę berlińską.



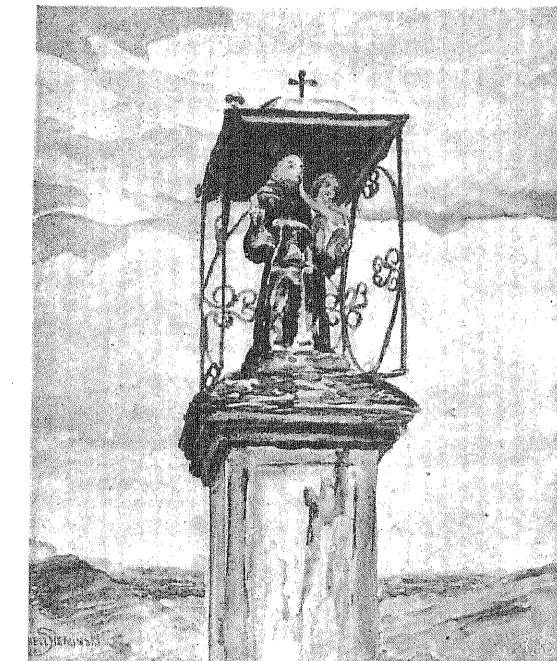
Adolf Menjou, król elegancji filmowej.



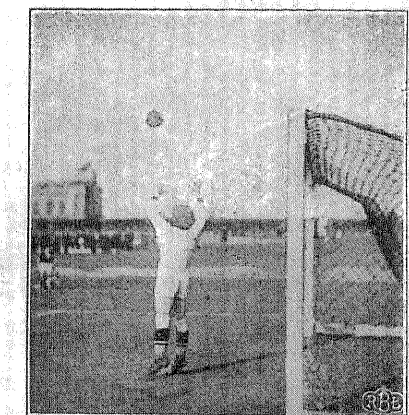
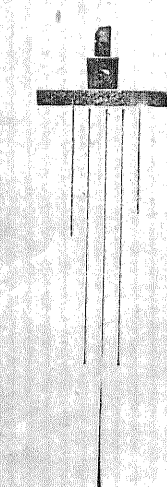
Ciekawy i pełen fascynujących momentów jest film p. n. „Cztery pióra”. Jeden z typów biorących udział w grze widzimy powyżej.



Erich Stroheim, reżyser i odtwórca głównej roli w filmie p. n. „Marsz weselny”.



W Miejskiej Galerji Sztuki w Łodzi między innymi wystawił swe prace artysta-malarz p. Mieczysław Siciński, który niedawno powrócił z Paryża, po długim tam pobycie. Na zdjęciu reprodukcja obrazu „Kapliczka przydrożna”.

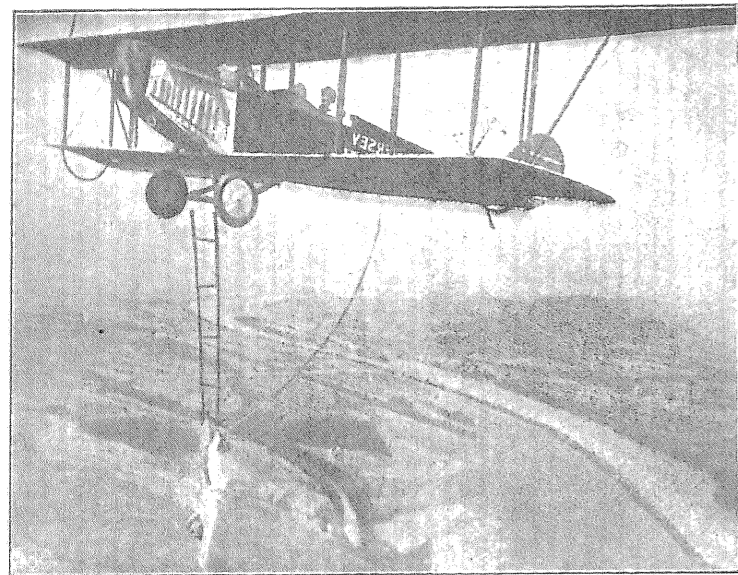


Moment z zawodów piłkarskich ŁKS — ŁTSG. Bramkarz chwytający piłkę.

ZE SPORTU.



Z okresem wiosennym budzi się gwałtownie do życia sport we wszystkich swych dziedzinach. Boiska rozbrzmiewają radosnym pogwarem młodych i dzielnych krzewicieli idei wychowania fizycznego. Stłumione długą zimą tętno życia sportowego śpieszniej uderza. Na zdjęciu widzimy od strony lewej męski i żeński zespół koszykówki P. I. W. F., w środku moment z meczu P. I. W. F. — Varsovia, na prawo zaś hazenistki A. Z. S-u.



W dniu 3-im maja r. b. popisywać się będzie na torze wyścigowym w Rudzie Pabjanickiej fenomenalnej zręczności akrobata p. Kurt-Kumau. Powyżej widzimy niezwykle jego ewolucje powietrzne z aeroplanu szybującego.



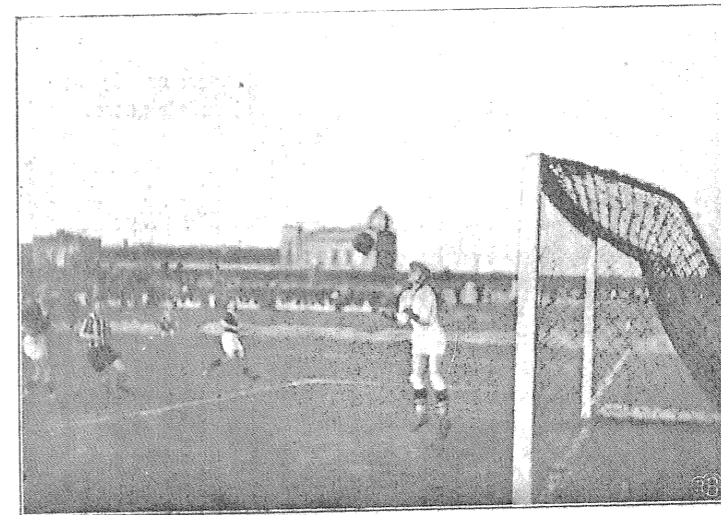
Z ciasnych i niewygodnych sal wyległa na wolne przestrzenie również i koszykówka. Widzimy powyżej zespoły drużyny Warszawy i Łodzi.



Przed sportem pływackim otwierają się rozległe horyzonty, szczególnie w okresie długiego lata, kiedy sprzyjające warunki umożliwiają i ułatwiają wszechstronny rozwój. Do takich wysiłków zaprawiają się już pływacy. Powyżej najmłodszy adept pływactwa i jego instruktor.



W drugi dzień świąt wielkanocnych na boisku ŁKS odbyły się zawody piłkarskie pomiędzy drużynami ŁKS i ŁTSG o puchar „Kurjera Łódzkiego”. Na zdjęciach widzimy od strony lewej zespoły obydwu drużyn piłkarskich, na prawo zaś moment z akcji.



Piłka i atak przed bramką ŁKS-u. Bramkarz chwytający piłkę.



Tegoż dnia na boisku ŁKS odbył się bieg naprzelaj Łódzkiego Klubu Sportowego. Na zdjęciu bieg w pełni.



Zwycięstwo w biegu odniósł przedstawiciel Warszawy, Kusociński, członek „Warszawianki”. Na zdjęciu od strony lewej widzimy Kusocińskiego na finiszu, na prawo moment z biegu.



LĘK.

Siedząc w kawiarni, w gronie przyjaciół, omawialiśmy liczne kwestje. Zmieniaczka Leon Martinel zaznaczył, podkreślając z pewnym zadowoleniem:

— Lęk? Mówicie o nim, nie wiedząc wcale, co to jest. Natomiast ja...

Orzeczenie to dotknęło nas. Wszyscy jednogłośnie zwróciliśmy uwagę Martinelowi, że i nam nie brakuje sposobności do trwogi, gdy słuchaliśmy świstu pocisków i trzasku karabinów maszynowych.

— Słusznie mówicie, — zgodził się Martinel. Przysięgam wam jednak, że nigdy nie zaznałem podobnego strachu, jak miesiąc temu...

— Napadnięto cię, może? — zagadnąłem.

— Nie.

— Samochód cię najechał?

— Milczałbym, gdyby chodziło o podobny drobny wypadek — zapewnił mnie.

— A więc chodzi o autobus, tramwaj, lub lokomotywę wreszcie? — badałem dalej.

Martinel wzruszył ramionami.

— Nie, — odrzekł — doznałem tego szalonego lęku z powodu kobiety.

Uroczyste milczenie nastąpiło po tych słowach. Martinel wypił łyk vermutu, a widząc, że wszyscy gotowi są słuchać z uwagą, rozpoczął swoje opowiadanie:

„Od kilku tygodni zawarłem znajomość z uroczą kobietą. Nie spodziewając się, że bym wam zdradził jej nazwisko. Przypuściłem, że zwąca się Martą Verier...

Widywałem ją bardzo często i kochałem ją coraz więcej... Droga Marto! Kochała mnie także bardzo szczerze i niewątpliwie tworzyłibyśmy najszczęśliwszą parę na świecie, gdyby Marto nie była kobietą tak wrażliwą i skłoną do lęku.

Nie przestawała mi powtarzać, skarżąc się:

— Zobaczysz, Leonie, wszystko to skończy się tragicznie.

Śmiałem się:

— Co znowu! — tłumaczyłem jej. — Nie wiem dlaczego nabijasz sobie głowę podobnymi rzeczami, moja droga.

— Dlaczego? — mówiła, blada, złamanym głosem. — Dlatego, że mój w końcu dowię się o wszystkim, a wówczas — jestem tego pewna — zabije nas oboje.

Widywałem dość często Gastona Verrier pomieważ bywałem w tem samym towarzystwie. Wydawał mi się osobistością bez znaczenia, raczej mdłą, i nic w jego fizjonomii ani obejściu nie zdradzało człowieka gwałtownego, sangwicznego choćby, zdolnego zabić żonę i mnie z powodu podejrzenia.

Niekiedy Marto przychodziła do mnie, na dała na fotele, szepcząc:

— Leonie, jesteśmy straceni!

I wszystko dlatego, że mąż jej, rozmawiając z nią przed chwilą, przyglądał się jej z dziwnym uśmiechem. Zdarzało się także, iż zdawało się jej, że jest śledzona przez człowieka o podejrzanej powierzchności. I człowiek ten — jak się domyślałem — nie mógł być nikim innym, jak tylko detektywem na usługach Gastona Verrier. Bywało że warunki zmuszały nas do spotykania się w miejscach publicznych. I wówczas biedna Marto przechodziła męczarnie, przekonana, że na każdym kroku spotkać się może z mężem, który zabije nas na miejscu.

Nic wskórać nie mogłem ani drwinami, ani gniewem nawet. Marto nie przestawała się lękać i zatruchiła naszą miłość złośliwymi przecuciami i niepotrzebnymi lżami. Zaczynało to rozwijać się u niej w manję, nawet w szaleństwo, wywołując przy najmniejszych oznakach niebezpieczeństwa prawdziwe halucynacje i ataki nerwowe.

Pewnego dnia, gdy spotkać się mieliśmy na jednym z przystanków tramwajowych, spóźniłem się trochę na swoje nieszczęście. Zbliżając się na oznaczone miejsce, zauważyłem zbiegowisko. Przystanawszy, ujrzałem zemdloną kobietę, którą podtrzymywał jakiś silny i dobronudny wojskowy. Kobieta tą była Marto.

Przeniesiona do apteki, wróciła tam powoli do przytomności. Odprowadzając Martę do domu, zapytałem ją:

— Co ci się stało?

— Ach! — odrzekła, zupełnie rozbita jeszcze — zdawało mi się, że spostrzegłem Gastona, przechodzącego buławem.

— Jestem pewien, żeś się pomyliła. A gdyby to nawet był on, cóż ci groziło? Co może być zdrożnego w czekaniu na tramwaj lub autobus?

Ten nadmiar zdenerwowania i brak złotej krwi zaczęły mnie niepokoić. W wypadku — możliwym zawsze — jakiegos podejrzenia ze strony Gastona Verrier i związanej z tem uwagi, Marto zamiast uśmiechu i wzruszenia ramion, zdradziłaby się pewnością wybuchem trwogi, co byłoby równoznaczne z przyznaniem się do winy.

Niepokoiło mnie to tem bardziej, że dowiedziałem się od Marty o nabyciu rewolweru przez Gastona Verrier, straszniejszego widocznie, niż się zdawało. Rzekomo pokazał broń żonie, z pewnym naciskiem za pewniając ją, że odtąd stale nosić będzie browning przy sobie. Oczywiście Marto w tych słowach dopatrywała się ukrytej groźby i przyznać muszę, że w tym poszczególnym wypadku zdanie jej wydało mi się słuszne.

Zkolei i ja zacząłem żywić przekonanie, że nasza sielanka zakończy się dramatem.

W tym czasie właśnie państwo de la Pree urządzali swoje doroczne wielkie przyjęcie, na które zostałem zaproszony wraz z setką innych osób.

Wchodząc do sali jadalnej ze stołem ustawionym w podkowie, szukałem nazwiska

swojego na małych biletach o złożonych brzegach, rozłożonych przy każdym nakryciu.

Pierwsze znajome nazwiska, na jakie się natknąłem, były: pan i pani Verrier.

— Do licha! — pomyślałem. — Marto jest tutaj. Nie trzeba, żeby mnie zobaczyła. Tymczasem, okrążywszy stół, znalazłem nareszcie kartkę z własnym nazwiskiem, umieszczoną naprzeciwko tej, przy której każdej chwili zasiąść mogła Marto, u boku męża.

Usiąść gdzie indziej? Była to rzecz nie możliwa. Uciec? Upozorować to nagła słabością? Przemknęło mi to przez umysł. Iecz już nie byłem zdolny do czynu, opano wany straszliwym lękiem, o którym wspominałem wam przed chwilą. Serce moje było rozszalałem tętnem. Czulem zimny pot, ściekający mi po plecach. Nogi moje uginały się pod mną. I dlatego zapewne usiadłem.

Schyliłem głowę, by nie zobaczyć nadejścia Marty i jej męża. Wystraszonymi oczyma spoglądałem na swój talerz z dymiącą się zupą i czekałem.

Wiedziałem bowiem dobrze, co się stanie: Marto, widząc mnie, nie zdoła powstrzymać okrzyku, może nie zapanuje nad sobą i dostanie ataku nerwowego — słowem: nieomieszka wywołać skandalu. A mąż jej — już uprzedzony — zrozumie. Wyolgnie swój browning — wyceluje...

Łyżka dygotała mi w ręce. Słyszałem hałas odsuwanych krzeseł: moje vis-a-vis zajmowali miejsca. Z czołem pochylonym nad talerzem z zupą, z zapartym oddechem czekałem jeszcze jedną minutę — najstraszniejszą w mem życiu.

Wkońcu odważyłem się unieść głowę i spojrzeć.

I wówczas zobaczyłem przed sobą Gastona Verrier z zupełnie nieznaną kobietą, czy pojmujecie? Kobieta, która nie była Marto, lecz jego dobrą przyjaciółką, przy tej sposobności wprowadzoną przez niego jako prawowitą małżonkę.

Plum. L. M.



Bebe Daniels, ulubiona artystka komediowa.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

P. Prezydent Rzplitej w Łodzi.



W dniu 25 ub. mies. był w Łodzi w charakterze półoficjalnym P. Prezydent Rzeczypospolitej, prof. Ignacy Mościcki, zaszczycając swą obecnością uroczystość poświęcenia i otwarcia największego w Polsce szpitala Okręgowego Związku Kas Chorych przy ul. Zagajnikowej. Na zdjęciu widzimy poszczególne fragmenty z pobytu Głowy Państwa w Łodzi. Fot. A. Meyer.